

Jewsiej Gendel

„Nie-witalizacja” dziedzictwa żydowskiego Mińska i jej możliwe przyczyny

W przypadku Mińska samo pojęcie dzielnicy żydowskiej jest nieco mętne. Ciężko mówić o czymś takim w mieście, gdzie i przed pierwszą, i przed drugą wojną światową Żydzi stanowili około 60 procent ludności. To raczej inne nacje miały tu swoje dzielnice narodowe, na przykład ogrody tatarskie z meczetem lub tak zwaną Liachówkę. Nie oznacza to oczywiście, że w Mińsku brakowało ośrodków szczególnej koncentracji życia żydowskiego: jak zawsze i wszędzie były to świątynie – w danym przypadku synagogi – oraz cmentarze. Dlatego właśnie władza sowiecka, chcąc maksymalnie stłamsić wszelkie przejawy życia niesowieckiego, robiła wszystko, aby zdusić i unicestwić zarówno bożnice, jak i kirkuty. I oto z jednej mińskiej synagogi, tej największej, zrobiono teatr (notabene rosyjski), z drugiej – archiwum, z trzeciej – kino, a czwartą, jedną z najstarszych budowli Mińska, 25 lat po wojnie po prostu zburzono. Zresztą postępowano tak nie tylko z bożnicami. Władze, na przykład, doprowadziły po wojnie do ruiny wielki stary klasztor Dominikanów, największy kościół zaś stał się raptem cerkwią, drugi – pseudoelitarnym Domem Kina, a jeszcze inny pozbawiono obu wież i przebudowano na Dom Kultury Fizycznej. Podczas pierestrojki wierni wywalczyli jednak zwrot dwóch ostatnich budowli na rzecz Kościoła katolickiego. Niestety, powrót budynku Teatru Rosyjskiego do macierzystych właścicieli nie doszedł do skutku: za małą okazała się liczba i przebojowość tych Żydów, którzy chcieliby znowu widzieć tam swoją bożnicę, podczas gdy niechęć władzy była – wręcz przeciwnie i jak zawsze – aż nazbyt duża.

Przejdźmy zatem do bardziej szczegółowej analizy sytuacji obiektów żydowskich w Mińsku, takich jak cmentarze i synagogi¹. Przed rewolucją

1 Niektóre informacje przekazał mi młody miński historyk Iwan Sacukiewicz, za co szczerze mu dziękuję.

w historii Mińska znane były trzy cmentarze żydowskie. Dla pierwszego z nich jeszcze w XVI wieku wyznaczona została działka za wałem miejskim na miejscu obecnego stadionu „Dynamo”. Około połowy XIX wieku został on ostatecznie zamknięty. Teren pod drugi cmentarz przydzielono około 1840 roku na obszarze obecnego miasteczka uniwersyteckiego. Nieco później okazało się jednak, że oddzielał on od miasta niedawno zbudowany dworzec, tak więc nekropola ta wykorzystywana była stosunkowo niedługo, około trzydziestu lat (w sumie przeprowadzono na niej od 2 do 3 tysięcy pochówków). Po jej zamknięciu około 1870 roku w rejonie dzisiejszych ulic Kolektorowej (byłej Żydowskiej), Suchej oraz Klary Zetkin utworzono trzeci cmentarz żydowski, dokąd ci, którzy chcieli, mogli przenieść groby swoich bliskich z drugiego. Cmentarz ten znany jest wielu mińszczanom, ja również dobrze go pamiętam. Zmarłych przestano na nim grzebać około roku 1950, a ostatecznie zamknięto go dopiero po następnych dwudziestu latach. Ostatnio powstał na tym terenie duży, doskonale utrzymany skwer, służący głównie do wyprowadzania psów oraz jako miejsce spacerów dla emerytów. Około piętnastu lat temu na jednym z krańców tego placu władze miast niemieckich postawiły, jeden obok drugiego, trzy kamienie memorialne z wrytymi na nich napisami w trzech językach o Żydach z Hamburga i Bremy, dla których w latach wojny mińskie getto stało się miejscem zagłady. Po likwidacji tej trzeciej żydowskiej nekropoli organizowanie nowego miejsca pochówku z przeznaczeniem dla Żydów, chociażby oddzielnej działki na jakimś innym terenie, ani władzy radzieckiej, ani żadnej następnej nie przyszło nawet do głowy.

Przed rewolucją było w Mińsku 40–47 synagog i bożnic, zróżnicowanych w znacznej mierze podług zawodu (synagogi kuśnierzy, tkaczy itd.), w tym kilka wielkich i wyróżniających się urodą, wśród których znajdowała się także synagoga Chóralna – to właśnie w jej przebudowanym pomieszczeniu już od bardzo dawna mieści się Rosyjski Teatr Dramatyczny. Trzeba też wspomnieć o synagodze Chłodnej – najstarszym być może budynku w Mińsku, zrównanym z ziemią w 1968 roku podczas budowy dużego instytutu projektowego na tak zwanym Dolnym Targu. Synagoga Chłodna stała dosłownie kilka metrów od niego, zachowały się jej fundamenty. Niektórzy uważają, że stanowiła ona niegdyś część kompleksu znanego mińskiego kościoła św. św. Piotra i Pawła i została wykupiona przez kahał żydowski dla potrzeb religijnych. Niedaleko od niej siedemdziesiąt lat

temu znajdowało się całe podwórze synagog i bożnic, między innymi synagoga Szkolna z kopułą, która spaliła się na samym początku wojny podczas ataków lotnictwa hitlerowskiego.

Warto nadmienić, że restauracja Rakowski Browar przy ulicy Witebskiej to także niegdysiejsza synagoga, niestety poważnie przebudowana podczas adaptacji tego budynku na restaurację dziesięć lat temu. Parę kroków stamtąd, na ulicy Rakowskiej, zwraca uwagę zachowana oryginalna żółta budowla – również dawna synagoga. Bolszewicy zamknęli ją już w latach dwudziestych ubiegłego stulecia, po wojnie było w niej kino, następnie Dom Pionierów, dziś jest tam szkołka szachowo-warcabowa dla dzieci. Zwraca uwagę fakt, że ten rejon miasta – jeden z niewielu w Mińsku, które praktycznie nie ucierpiały w czasie wojny – pełen jest budynków będących kiedyś bożnicami i poniekąd sam się prosi, aby nadać mu należną oprawę i przekształcić w świadectwo starego żydowskiego Mińska, które stałoby się jeśli nie centrum rzeczywistego życia judaistycznego (jego prawdziwe przywrócenie na pewno nie jest możliwe), to przynajmniej przynętą dla turystów.

Z drugiej strony, prawdziwe życie żydowskie w Mińsku wydaje się mimo wszystko istnieć. Koncentruje się ono wokół społecznego centrum „Chesed-Rachamim” – specjalnego kompleksu budynków, zarówno wyremontowanych, jak i nowo wybudowanych (dzięki zagranicznym funduszom), niedaleko od centralnego rynku Komarowskiego. Tam znalazły swoje miejsce i biblioteka, i szkoła religijna dla dzieci, i amatorskie zespoły teatralne oraz muzyczne, a także centrum świadczenia pomocy medycznej oraz opieki społecznej dla potrzebujących jej osób narodowości żydowskiej. Działanie tego centrum to wprawdzie słaby, acz oczywisty przejaw rewitalizacji życia żydowskiego w Mińsku. Nie da się jednak ukryć, że jeżeli w innych miastach Europy Środkowej żydowskie życie niewątpliwie odżywa – choćby tylko na pokaz – to w Mińsku bez wątpienia coraz bardziej ono gaśnie. Większość Żydów wyjechała już za granicę, a pozostali, wiekowi, powoli wymierają.

Swoją obecność zaznacza w Mińsku również żydowskie życie religijne. Stosunkowo niedawno zbudowano – też, oczywiście, za obce pieniądze – nową synagogę, w której pracują rabini, przyjeżdżający na jakiś czas z Izraela. Niestety, wybudowano ją na miejscu dawno działającej synagogi na ulicy Kropotkina (byłej Nikołajewskiej). A przecież był to zabytkowy budynek, w którym synagoga istniała już na początku XIX wieku. I oto zamiast restaurowania został on wyburzony, przy czym, jak to mówią niektórzy wtajemniczeni, częściowo z inicjatywy wieloletniego oficjalnego

przewodniczącego wspólnoty żydowskiej na Białorusi Leonida Levina, znanego architekta, laureata Nagrody Leninowskiej za kompleks memorialny „Chatyń”². Natomiast budynek drugiej z działających obecnie bożnic, stojący przy ulicy Daumana, szczęśliwie się zachował, choć pozostaje obawa, iż dlatego, że to dawna fabryka, która nikogo nie ciekawi.

Notabene w odniesieniu do nazw mińskich ulic nie sposób nie zwrócić uwagi na to, że aż się roi w tym mieście od wszelakich rewolucjonistów – wspomniani już Klara Zetkin, Kropotkin, mniej znany Dauman (nawiasem mówiąc, wcale nie Żyd, jak to myślą nawet nieliczni bywalcy synagogi, ale Łotysz imieniem Ans Ernestowicz, partyjny pseudonim „Pujka”, który zginął w pobliżu Brześcia w 1920 roku na wojnie, nazywanej w Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej „wojną z białopolakami”, gdzie był dowódcą dywizji). Wszystkie te nazwy po „bankructwie” władzy sowieckiej doskonale się zachowały, podobnie zresztą jak i rozmieszczone w centrum Mińska niezliczone ulice Komsomolskie, Rewolucyjne, Komunistyczne i inne, podczas gdy na przykład ulica Republikańska – nazwa, która, wydaje się, powinna była stać się w nowych czasach szczególnie aktualną – z powodzeniem powróciła do dawnej nazwy Romanowska Słoboda: czyż nie dla uczczenia dynastii Romanowów otrzymała ona kiedyś swoje miano? Szkoda, że tak właśnie wygląda przywracanie pamięci w mińskim wydaniu.

Boję się, że przyczyny tego zjawiska leżą nie tylko w sytuacji politycznej, którą obserwujemy na Białorusi na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat, choć ona też odgrywa niemałą rolę. Przyczyny zdają się leżeć o wiele głębiej. Dlaczego w Krakowie, Warszawie i innych miastach Europy Środkowej przywracanie pamięci o Żydach i rewitalizacja dzielnic żydowskich zdobywają należne im miejsce, podczas gdy w Mińsku nic się w tej kwestii nie robi? Obawiam się, że odpowiedź na tak postawione pytanie jest mniej więcej taka jak i na pytanie, dlaczego choć Niemcy w czasie wojny okupowali najpierw stolicę polskich Żydów – Warszawę, długo potem białoruskich – Mińsk, a za nim ukraińskich – Kijów, który wielki Szolem Alejchem wstawił jako żydowski Jehupiec, Żydów pozabijano najpierw w tym ostatnim, następnie znacznie później w Mińsku i dopiero w trzeciej kolejności w Warszawie.

2 Chatyń (Хатынь) – wieś spalona wraz z mieszkańcami przez oddziały niemieckie 22 marca 1943 roku. Jest bardzo prawdopodobne, że wybór przez władze sowieckie Chatynia spośród wielu setek w podobny sposób zniszczonych miejscowości Białorusi na miejsce-symbol pamięci o zbrodniach faszystowskich był motywowany podobieństwem nazwy „Chatyń” do „Katyń” i miał służyć dezinformacji (przyp. red.).

Na pytanie: dlaczego miasta te zostały zajęte właśnie w takiej kolejności, wystarczyć mogłaby odpowiedź: taka była logika hitlerowskiego *Drang nach Osten*, taka jest geografia. Jednym z pierwszych kroków faszystów we wszystkich okupowanych przez nich większych miastach oraz niekiedy miasteczkach była organizacja gett żydowskich i tu pytanie niestety nie jest konieczne: takich działań w stosunku do Żydów wymagała faszystowska logika kanibalistyczna. Pytanie można jednak postawić inaczej: dlaczego w Kijowie, zajętym jako ostatni z tych trzech miast, Żydzi zginęli o wiele wcześniej niż w dwóch pozostałych i dlaczego w Warszawie, która znalazła się pod nazistowskim obcasem prawie na dwa lata przed Kijowem i Mińskiem, Żydów zaczęto „likwidować” o wiele później niż w tych dwóch, radzieckich wówczas, miastach? Czyżby dowódcy dywizji, armii albo frontów niemieckich, które wstępowały do trzech wspomnianych miast, po prostu nienawidzili Żydów w różnym stopniu i Kijowowi przypadł w udziale jakiś superlotr, podczas gdy Warszawie – taki niemal „pocziwiec”?

Dlaczego kijowscy Żydzi zostali zniszczeni wcześniej od mińskich (rozstrzeliwania w Babim Jarze zaczęły się gdzieś z końcem września 1941 roku, już po kilkunastu dniach po wejściu wojsk niemieckich!), a Żydzi mińscy z kolei wcześniej od warszawskich? Tak postawione pytanie wydaje się bardzo proste, prawie oczywiste, ale dla wielu będzie ono wciąż niespodziewane. Nawet dla tych, którzy i z „potrzeby serca”, i jak to się mówi, „z urzędu” zajmują się tematami związanymi z Żydami. Nie mówię już o czasach komunistycznych, kiedy samo słowo „Żyd” było obelżywe lub co najmniej tabuizowane. Również dziś, kiedy wszystkie zakazy przestały poniekąd obowiązywać, to pytanie i tak nie jest podejmowane. Dlaczego? Wydaje mi się, że z jednej jedynej przyczyny – jest ono bardzo nieprzyjemne. Rozumie się, nie dla Żydów. Dla wszystkich innych – Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, częściowo Polaków. To ich pytanie i ich problem. Jak wszystko, co jest związane z antysemityzmem. Nic mi jednak nie wiadomo o tym, żeby Ukraińcy, Litwini albo Białorusini, nawet ci najlepsi i najuczciwsi, wykazywali skłonność do rozważań w związku ze wskazanym niby to elementarnym problemem. Podejmę się jednak próby wyjaśnienia dlaczego.

W roku 1966 radzieckie mieszcuchy z grozą – a niektórzy i ze złośliwą satysfakcją – przeczytały o żydowskich ofiarach Babiego Jaru w dokumentalnej opowieści Anatola Kuzniecowa pod tym samym tytułem, opublikowanej – niezrozumiale, jak to się stało – w popularnym wtedy czasopiśmie „Juność” („Młodość”). I nawet po wszystkich cięciach cenzury i manipulacjach dla każdego, kto umiał choć jako tako czytać między wierszami, było jasne: nieszczęsnych Żydów zabijali nie tylko Niemcy. Zresztą było to zrozumiałe i wcześniej, bez żadnych książek i świadków zdarzeń. Niemcy są narodem wielkiego porządku, osławionego *Ordnungu*, i żaden ich wódz, nawet tak ważny jak dowódca grupy wojskowej „Południe”, nie będzie bez rozkazu stawać pod karabiny maszynowe więcej niż pół setki tysięcy miejscowych, niechby nawet i „niedoludzi”. A takiego rozkazu oraz kilku innych nie było: w przeciwnym razie dawno by go już wykonano w Warszawie, a i w Mińsku też. Była to zatem inicjatywa kijowskich antysemitów, a nie hitlerowskich wojaków. Ci ostatni tylko życzliwie patrzyli, jak miejscowa hołota, tworząc pod niemieckim nadzorem magistrat – faszystowską odmianę „miejskiej rady narodowej”, wykonuje za nich brudną robotę, przy czym robi to z entuzjazmem i w czasie, kiedy sami Niemcy jeszcze nie do końca zdecydowali się, jak rozwiązać tę przekłętą „sprawę żydowską”.

Hitler po raz pierwszy zaczął mówić o unicestwieniu Żydów na długo przed dojściem do władzy, pisząc o tym w swojej programowej książce *Mein Kampf*. W 1935 roku pojawił się cały zbiór rasistowskich ustaw (tak zwane ustawy norymberskie), pozbawiających Żydów obywatelstwa i w znacznym stopniu usuwających ich z życia społecznego Niemiec. Ale do masowego unicestwienia było jeszcze bardzo daleko, nawet kiedy w listopadzie roku 1938 znalazł się pretekst (jak wiadomo, pośrednio związany z Polską) i na początku tego miesiąca – akurat w piętnastą rocznicę monachijskiego „puczu piwnego” – po wezwaniu ze strony Goebbelsa przez całe Niemcy przetoczyła się fala masowych pogromów. Wówczas jednak zginęło „tylko” około dziewięćdziesięciu Żydów, a setki były ranne, chociaż spalonych, obrażonych albo uszkodzonych zostało 177 synagog oraz ponad 7500 należących do Żydów zakładów, kramików i sklepów (szkła stłuczonych gablot tych ostatnich dały tej złowieszczej nocy nazwę *Kristallnacht* – noc kryształowa). Ukierunkowanie kampanii antyżydowskiej było jasne i zrozumiałe, ale wtedy jej ostatecznego celu nie znali jeszcze nawet sami naziści.

Po długich rozmyślaniach bonzów faszystowskich 31 lipca 1941 roku Hermann Göring, druga osoba w Rzeszy po Hitlerze, oddał szefowi policji politycznej Reinhardowi Heydrichowi rozkaz przygotowania planu „ostatecznego” rozwiązania kwestii żydowskiej. 20 stycznia 1942 roku w podberlińskiej miejscowości Wannsee piętnastu biurokratów na czele z Reinhardem Heydrichem (i z udziałem osławionego Adolfa Eichmanna) odbyło naradę, podczas której rozpatrzono i przyjęto odpowiedni plan. Postanowiono wywieźć Żydów z całej Europy na wschód, do obozów, gdzie mieli oni zginąć – na skutek męczącej pracy, złego odżywiania i jak można się było dowiedzieć z dokumentów tego posiedzenia, „stosownego traktowania”. Słowo „unicestwienie” nigdzie oficjalnie się nie pojawiło – choć to właśnie ono oznaczało owo „stosowne traktowanie”. Faktycznie naziści zaczęli organizować dla Żydów bynajmniej nie obozy pracy, lecz obozy masowej zagłady – Majdanek, Treblinkę, Sobibór, Auschwitz oraz wiele innych. Wszystko odbywało się jednak już po naradzie w Wannsee, przy czym najpierw z godną pozazdrośczenia niemiecką punktualnością zaczęto rozwiązywać, by tak powiedzieć, problemy techniczne: jakim sposobem zabijać taką liczbę „niedoludzi”, gdzie ich zabijać (postanowiono: w Polsce, bo tam mieszkało bardzo wielu rodzimych Żydów i nie trzeba ich było daleko dowozić, a zresztą inni też mieszkali niedaleko, w tym Żydzi zachodni) itd. Potem zaczęto budować fabryki śmierci i prowadzące do nich drogi dojazdowe – i oto gdzieś bliżej końca roku 1942 lub na początku 1943 „krwawa maszyna” zaczęła działać. Właśnie w jej tryby dostało się 400 tysięcy pozostałych jeszcze przy życiu warszawskich Żydów, których zaczęto wywozić tam w pierwszych miesiącach 1943 roku, a w kwietniu ostatnich 60 tysięcy urządziło w getcie powstanie i prawie miesiąc walczyło przeciwko regularnym oddziałom niemieckim.

A co tymczasem działo się w naszych stronach? Zwróćmy uwagę na to, że w dokumentach z Wannsee mówiło się o wywozie Żydów na wschód. Chodziło oczywiście o Żydów z Europy Środkowej i Zachodniej, z mojej Wschodniej i tak nie trzeba było nikogo donikąd wieść. A i po co? To na Zachodzie nie chciano pokazywać spokojnym mieszkańcom i drobnej burżuazji, jak to postępuje się teraz z ich długoletnimi sąsiadami – Żydami. Dlatego hitlerowcy zmuszeni byli „trwonić” środki materialne na deficytowy transport, żeby wywieźć „wstrętnych” Żydów precz z oczu i zrealizować ich „stosowne traktowanie” w tych miejscach, gdzie nie widziała

tego publiczność oraz ludność cywilna. Na okupowanym terytorium ZSRR takie subtelności nie były potrzebne. O Kijowie już wiemy. Liczne miasta i miejscowości ukraińskie niezwłocznie poszły w jego ślady (z wyjątkiem Odessy). W Mińsku data pierwszego dużego pogromu – 2 marca 1942 roku – jest dobrze znana i wyryta na wiadomym, unikatowym dla ZSRR i ocalałym po dziś dzień nieoficjalnym pomniku w tak zwanej Dziurze, chociaż getto mińskie zlikwidowano stosunkowo późno, w drugiej połowie 1943 roku. Ogólna sytuacja na Białorusi była różna, nie wszystko jest dokładnie rozpoznane. Mam jednak wystarczająco dużo danych na temat tej sytuacji w miejscu, skąd pochodzą moi rodzice: to jest w miasteczku Bóbr w obecnym rejonie krupskim obwodu mińskiego. Tamtejszych Żydów unicestwiono w sąsiednim lesie na długo przed decyzją w Wannsee, w październiku 1941 roku, o czym wiadomo z relacji ustnych osób, którym udało się przeżyć. Operacją kierował przedwojenny dyrektor miejscowej szkoły.

Nie chodzi mi tu o obarczanie kogoś winą za to, że u nas Żydów nie ratowano. W atmosferze powszechnego donosicielstwa, jaka panowała na wszystkich wschodnich terenach okupowanych, człowiek podejmujący straszliwe ryzyko i chowający u siebie Żyda musiał być tak ogromnym bohaterem, takim „olbrzymem moralności”, że w porównaniu z nim wyczyn każdego oficjalnie wstawionego wojskowego bohatera Związku Radzieckiego błędnie. Między ludźmi, jak to się mówi, i śmierć się nie przykrzy, tym bardziej kiedy wypiełeś woroszyłowskie sto gramów, pomnożone ileś tam razy, a z tyłu stoją dzielne chłopaki ze SMERSZ-u z automatami albo i z karabinami maszynowymi w pogotowiu. Ciche bohaterstwo kobiety wiejskiej jest stokroć znaczniejsze – przecież o jej wyczynie nikt nie wie i wiedzieć nie powinien, a zresztą ona ryzykuje nie tylko życie własne, ale też los swoich bliskich, często dzieci. Każdy taki człowiek zasługuje nie tyle na drzewko zasadzone wzdłuż Alei Sprawiedliwych wśród Narodów Świata w Jerozolimie, ile raczej na pomnik tu, na swojej ziemi. Bezpośrednio wiem o dwóch takich kobietach, prawdziwych chrześcijankach, od których były jasność i ciepło. Dla moich znajomych, dorosłych już dziś niegdyśjszych dziewczynek żydowskich, uratowanych przez te wspaniałe kobiety, na zawsze pozostały one drugimi matkami i po wojnie kobiety te zamieszkały w ich domach na wiele lat, aż do śmierci. Nie mam pretensji o to, że takich bohaterów było niewiele, bo nie mogło ich być dużo – to rzadki gatunek ludzi. Pretensje mam do donosicieli i szmalcowników, których było o wiele więcej, niżby się chciało, i do tej sytuacji, kiedy w czasie wojny bohater-wybawca faktycznie musiał chować się nie tylko przed władzami niemieckimi, lecz – co jest o wiele gor-

sze – przed własnymi sąsiadami i mieszkańcami własnej wsi, a po wojnie także przed swoimi władzami komunistycznymi. Lecz komu z tych bohaterów – prawdziwych, autentycznych, nie wykreowanych sztucznie przez polityków, jak to się czasem zdarzało w latach wojennych – postawiony został pomnik na terenie Białorusi albo byłego ZSRR czy może w byłym „obozie socjalistycznym”? Pytanie pozostaje niestety retoryczne.

Tak oto stopniowo zaczyna się wyjaśniać, dlaczego kijowskich Żydów zabito wcześniej od mińskich, a tych – wcześniej od warszawskich. Przy czym Żydów ukraińskich, białoruskich czy litewsko-estońskich nie trzeba było donikąd wywozić – zabijano ich na miejscu. Po prostu społeczność tych niezależnych teraz krajów odnosiła się do takich masowych rozstrzeliwań z tolerancją.

W związku z Holocaustem powstaje jeszcze jedno pytanie: dlaczego Żydzi radzieccy nie uciekali od faszystów? Rzeczywiście, przecież nazisci od samego początku nie ukrywali nienawiści do Żydów i najpierw o niej mówili, a potem, kiedy doszli do władzy w Niemczech, starali się stopniowo wprowadzać swoje szalone idee w życie. O tym było szeroko wiadomo, ale wszyscy milczeli – zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie. Niby to nie chciano wtrącać się w cudze sprawy wewnętrzne. A antysemita w wielu miejscach (w Polsce też) radośnie zacierał ręce. Zresztą w Związku Radzieckim w latach trzydziestych ubiegłego stulecia antysemityzm zdaniem wielu osób, w tym i Żydów, w ogóle nie istniał, a więc i ręk nikt nie zacierał.

Ale oto 22 czerwca 1941 roku Niemcy napadły na ZSRR, zaczęła się wojna i potworny antysemityzm wszedł, a raczej wjechał czołgami, najpierw na teren niedawno zagarniętych przez ZSRR ziem polskich, a potem i do właściwego terytorium Kraju Rad. Wielu osobom wydaje się, że w tej sytuacji większość Żydów zachowywała się jak baranki skazane na rzeź, czekając na nieuchronną zagładę. Dlaczego? Zdarzało się słyszeć coś o pokutnej ofierze żydostwa czy podobne temu wymysły. Ludzie prości – a większość Żydów była wtedy właśnie ludźmi prostymi, to znaczy nie bardzo oświeconymi – nie kierują się w swoich działaniach i czynach mistycznymi czy irracjonalnymi opiniami, lecz faktami i okolicznościami całkowicie konkretnymi. A więc dlaczego Żydzi nie ratowali się ucieczką od faszystów?

Z co najmniej dwóch przyczyn. Po pierwsze, jest oczywiste, że bardzo wielu ludzi strasznie nienawidziło władzy radzieckiej, która miała w latach trzydziestych charakter szczególnie kanibalistyczny, rzucając za drut kolczasty miliony istnień ludzkich, innych zaś, na przykład na Ukrainie, skazując na śmierć głodową. Rozumie się, że ci, którzy stracili swoich bliskich z jednej ze wskazanych przyczyn albo chociażby obserwowali zagładę

otoczenia, nie mogli żywić sympatii do władzy, winnej takich strasznych przestępstw, i mieli pełne prawo patrzeć na Niemców jak na wybawicieli. Ale główną przyczyną świadomej odmowy ucieczki była, jak się wydaje, nie tyle nienawiść do władzy, ile elementarna niewiedza. Ludzie, a przede wszystkim Żydzi, po prostu nie wiedzieli i nawet wyobrazić sobie nie potrafili, co konkretnie czeka ich pod panowaniem niemieckim.

W roku 1941, kiedy w ZSRR wybuchła wojna, minęło zaledwie nieco więcej niż dwadzieścia lat od czasów strasznych wydarzeń z lat 1918–1920, kiedy to władza w prawie każdym regionie rosyjskim zmieniała się jak w kalejdoskopie. Z żydowskiego punktu widzenia prawie wszystkich najeźdźców: białych i niezbyt białych, czerwonych i niezbyt czerwonych (przypomnijmy sobie konną armię Budionnego i jej opis pióra Izaaka Babla), a także różnych zielonych i szaro-brunatno-malinowych, ojczystych i napływowych (pod tymi ostatnimi mam na myśli Polaków) łączyła jedna wspólna cecha – wszyscy aktywnie dopuszczali się ataków na Żydów. Nie robili tego tylko Niemcy, którzy po traktacie brzeskim z 1918 roku okupowali znaczną część Ukrainy i Białorusi. Ci w ogóle zachowywali się kulturalnie: nie rabowali, płacili za zabrane mienie. I oto ludzie w latach trzydziestych doskonale pamiętali o „przywoitych” Niemcach. Tym bardziej że po traktacie z Rapallo z 1922 roku komuniści energicznie i na wszystkich płaszczyznach – nie wyłączając wojskowej – przyjaźnili się z Niemcami i chwalili ich. Wprawdzie potem prasa sowiecka zaczęła tak samo energicznie obrzucać ten kraj błotem, mówić, że faszyci, którzy doszli tam do władzy, nienawidzą komunistów, ale o nazistowskiej nienawiści do Żydów, o ustawach norymberskich i nocy kryształowej praktycznie nie mówili. Zresztą ludzie nie bardzo wierzyli radzieckim pogłoskom gazetowym na temat złych Niemców: po pierwsze, wielu osobiście znało i pamiętało, że Niemcy są ludźmi kulturalnymi i na żadne skrajności sobie nie pozwalają, po drugie, nasi obywatele w ogóle słabo wierzyli w bajki pismaków radzieckich, którzy kłamali na prawo i na lewo. W końcu sierpnia 1939 roku okazało się, że sceptycy, jak zawsze, mieli rację i Niemcy byli rzeczywiście dobrzy, o czym gazety radzieckie zaczęły trąbić tak samo energicznie, jak przedtem ich oczerniały. Tak więc ogół społeczeństwa, a Żydzi w szczególności, uważał, że Niemcy to ludzie normalni i poczytalni.

A przecież innych źródeł informacji oprócz gazet radzieckich i osobistych doświadczeń było wtedy bardzo niewiele. Radiostacje typu „Wolna Europa”, BBC albo „Głos Ameryki” jeszcze nie istniały, a zresztą radioodbiorników u lud-

ności było niewiele więcej niż samych stacji. U tych zaś, którzy mieli odbiornik, rozumieli po niemiecku i słyszeli wystąpienia opętanego Führera albo nawet mogli wyjechać do Niemiec bądź gdziekolwiek indziej za granicę, nie było chęci podzielenia się tą wiedzą ze współobywatelami. W tych czasach wsadzano za kratki za znacznie mniejsze przewinienia niż antyniemiecka gadanina i „szerzenie prowokacyjnych pogłosek”, jak to się nazywało w żargonie sowieckim. Tak, Żydzi radzieccy absolutnie nie podejrzewali, jaki los ich czeka, a sowieckie środki przekazu nie raczyły zawczasu ich o tym zawiadomić. A przecież można to było zrobić nawet po tym, jak wojna już się zaczęła. Gdyby głośnik radiowy, stojący prawie w każdym mieszkaniu w mieście i wiszący na słupach wszystkich żydowskich miasteczek, chociaż jeden raz dał do zrozumienia, że Żydzi w Niemczech i w okupowanej Polsce traktowani są jak trędowaci i umierają w gettach, to większość radzieckich Żydów mogłaby się uratować.

Ktoś może powiedzieć, że i tak by nie zdążyli. Zdążyliby, mówię to z pełnym przekonaniem! I nie chodzi mi już o Żydów z Kijowa, Charkowa czy Odessy, jednym słowem – o Żydów z tych wszystkich dużych i małych miejscowości, które były daleko od granicy. Ich mieszkańcy na pewno mogli nie tylko uciec, ale wręcz spokojnie wyjechać. Przy czym nie tylko Żydzi, ale też, dla przykładu, rodziny komunistów, które także czekały okropne represje. Lecz ludzie nie jechali. Jak mówiła moja mama, w ogromniastym, tak zwanym pulmanowskim wagonie kolejowym, ewakuującym nas z centrum Ukrainy, były w sumie trzy rodziny, w tym jedna składała się tylko z dwóch osób – mnie i mamy! Ale co tam Kijów! Nawet z Mińska, gdzie dobrze znam sytuację, można się było uratować, chociaż to miasto zajęli Niemcy w piąty dzień wojny. Przede wszystkim nie było chęci ucieczki. Oto całkowicie wiarygodna historia – jedna z wielu podobnych. Znana mi para warszawskich Żydów, muzyków, we wrześniu 1939 roku osobno zbiegła, jak wielu ich rodaków, na wschód, do ZSRR, żeby znaleźć schronienie w Mińsku. Los tych wspaniałych ludzi godny jest odrębnej opowieści i nie chcę zastępować jej pospiesznym streszczeniem. Powiem tylko, że doskonale wiedząc z dawnych polskich źródeł i z korespondencji z rodziną pozostałą w Warszawie o stosunku nazistów do Żydów, że rozumieli oni potrzebę ucieczki i bez trudności zbiegli z prawie przygranicznego miasta. Ścisłej mówiąc, skorzystali z możliwości ewakuowania się w mniej lub bardziej zorganizowanym trybie razem z konserwatorium i filharmonią. Podobne przykłady można mnożyć i mnożyć. Szansa uratowania się w pierwszych dniach i tygodniach wojny z pewnością była, lecz brakowało chęci.

Nawet z Brześcia Żydzi w zamęcie podąжали pieszo na wschód. Niektórzy z nich przeżyli. Oczywiście, nad szosami mknęły koszącym lotem samoloty niemieckie, z bliska rozstrzeliwujące uchodźców, ale nawet taka śmierć była, jak się potem okazało, lepsza lub co najmniej lżejsza od tej, jaka oczekiwała nieszczęsnych więźniów gett.

Istniały też inne przyczyny pozostania. W większych miastach gorzej albo lepiej organizowano ewakuację tych, którzy mieli kontakt z jakimiś przedsiębiorstwami albo instytucjami. Ludzi, w tym niezdecydowanych i chwiejnych, po prostu zmuszano do wyjazdu i pomagano im w tej niełatwej sprawie. Ale w małych miasteczkach, gdzie skupiona była wówczas większość Żydów, żadnych takich zakładów faktycznie nie było i nie odbywała się żadna oficjalna ewakuacja. Żydzi byli tam głównie chałupnikami, członkami przeróżnych spółdzielni, sprzedawcami itd., krótko mówiąc – słabo zorganizowaną grupą społeczną, która, zgodnie z pojęciami radzieckimi, szczególnej wartości dla gospodarki kraju nie przedstawiała, a więc nie podlegała ewakuacji.

I oto moja konkluzja jest prosta: zagładzie wielu setek tysięcy radzieckich Żydów faktycznie – chociaż i pośrednio – winna jest sowiecka władza. Po pierwsze dlatego, że nastawiała ludzi przeciwko sobie i „nakłaniała” ich do pozostawania pod faszystowską okupacją. Po drugie – z powodu swojej niezdolności bądź też niechęci ewakuowania mieszkańców miasteczek. Po trzecie – z powodu swego kompletnego milczenia o tym, co się dzieje z Żydami pod nazistowskim butem. Trzeba zauważyć, że komuniści milczeli o tym nie tylko przed wojną, ale też po tym, jak działania bojowe już się rozpoczęły i koniecznością stało się poinformowanie swoich obywateli Żydów, którzy w wielu miejscowościach stanowili znaczny procent albo nawet większość mieszkańców, o tym, jakie straszne nieszczęście im grozi. Wiadomym jest, że Sowietom nie przyznali się do bardziej oczywistych swoich przestępstw, nie mówiąc już o takich „drobiazgach”.

Nie ulega wątpliwości, że każdemu człowiekowi bardzo trudno jest opuścić ciepłe domowe pielesze i udać się w nieznaną, szczególnie gdy obarcza go jeszcze gromadka dzieci, jak to wtedy było w większości żydowskich rodzin. Wielu, widząc, żywiło nadzieję, że jakoś to będzie albo że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Te czynniki „inercyjne”, które dla znacznej części ludzi były pierwszoplanowymi, też odegrały swoją rolę. Ale nie one były na pierwszym miejscu. Gdyby Żydzi wiedzieli, co ich czeka, wszy-

szy jak jeden mąż poszliby naprzód. Oni jednak nie wiedzieli nic, gdyż im nie powiedziano. Można mnie dziś zapytać: a dlaczego sądzi Pan, że ludzie, którzy według Pana własnych słów nie bardzo wierzyli retoryce władzy radzieckiej, nagle uwierzyliby słowom o przerażającej groźbie dla Żydów? Cóż, jest to dobre pytanie. Ale nawet gdyby tak się zdarzyło i Żydzi zlekceważyliby ostrzeżenia władzy sowieckiej, i tak ona pozostałaby winną takiej nieufności: bo za wiele i za długo kłamała wszystkim oraz o wszystkim.

Na zakończenie pragnę zapewnić, iż doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że moje hipotezy nie bazują na niczym innym oprócz własnych przeżywań: nie na dogłębnych badaniach źródłowych, których nie mogę przeprowadzić. Zdaję sobie także sprawę z faktu, iż wielu osobom moja odpowiedź na pytanie o los Żydów trzech wielkich miast, a nawet samo postawienie tegoż pytania wydają się bardzo obraźliwe. Jeżeli uznają oni za potrzebne wdać się w polemikę, zaprzeczyć mojemu punktowi widzenia albo oczyścić się z oskarżeń lub, tym bardziej, przyznać się do częściowej winy i wyrazić skruchę, będę wiedział, że strony te napisałem nienadaremnie.

Na koniec wreszcie – antysemityzm to przecież nie żydowski problem i nie Żydom trzeba z nim walczyć, zwłaszcza że często staje się on raczej kwestią przekonania niż argumentów. Tym bardziej że antysemityzmu nie zwalczą się argumentami i faktami, lecz badawczym spojrzeniem skierowanym na i wobec tego, kto jest nim zakazony, spojrzeniem we własną duszę. I nie trzeba w każdej sprawie wskazywać palcem na władzę. W wielu miejscach, które nie są siedzibą „ostatniego autokraty Europy” jakoś nie bardzo słychać o rewitalizacji dziedzictwa żydowskiego. Oczywiście, dzisiejsze władze Białorusi mają wiele do polepszenia w tej dziedzinie, choć trzeba pamiętać, że one – jak niegdyś władza sowiecka – tak naprawdę nie interesują się rewitalizacją jakiegokolwiek życia kulturalnego, nawet samych Białorusinów, nie mówiąc już o jakichś tam Żydach. Ale przecież w Mińsku, jak wspominałem, wciąż istnieje jeszcze stara ulica Rakowska z parą dawnych synagog, która z powodzeniem mogłaby się stać dzielnicą żydowską. Przestrzeń taką można odbudować, podobnie jak uczyniono to trzydzieści lat temu, idąc za przykładem Wilna i przekształcając w Mińsku jakąś ciasną i brudną dzielnicę w piękne Przedmieście Trojeckie. Aby jednak rewitalizacja tej ulicy, ale też innych dzielnic żydowskich na Białorusi, miała miejsce, zarówno naród zamieszkujący ten kraj, jak i jego władze muszą najpierw rewitalizować swoje sumienia, muszą uczynić pokutę.